

Zbigniew Bujak

Bartłomiej Nowotarski (*autorzy są ekspertami Europejskiego Centrum Solidarności, byli uczestnikami misji obserwacyjnych oraz demokratyzacyjnych w Tunezji i Egipcie*).

MUZUŁMAŃSKI EKSPERYMENT: DEMOKRACJE TUNEZJI I EGIPTU

Choć już od ponad 40. lat 90 krajów świata odbywało i nadal odbywa pełną niebezpieczeństw podróż z różnej maści dyktatur do demokracji, tylko w przypadku Tunezji i Egiptu, jak na razie, mamy zarazem do czynienia ze społeczeństwami muzułmańskimi, jak i arabskimi. Takiego eksperymentu świat dotąd nie przechodził. Uważamy jednak, że ani jeden, ani drugi aspekt nie stanowi przeszkody w zbudowaniu dobrze zrównoważonej wewnętrznie demokracji. I tylko na pierwszy rzut oka może być łatwiej w Tunezji niż Egipcie. Albowiem w Egipcie sytuacja zmusza różne ośrodki władzy do zawierania kompromisów, w Tunezji o jakości demokracji może zdecydować jeden ośrodek – zdominowany przez partię postislamską jednoizbowy parlament.

Co nas łączy, a co dzieli

Związani z byłym ruchem Solidarności, uczestniczący w misjach obserwacyjnych dość szybko odkryliśmy co nas łączy z tunezyjskimi i egipskimi elitami postrewolucyjnymi. Jak pokazywały już wcześniej raporty *The Arab Human Development* (z lat 2008-09), tam też społeczeństwa, w 94 proc., nienawidziły dyktatur, tak świeckich, jak i religijnych. Coraz bardziej uświadamianą bolączką był także brak wolnych wyborów czyli, charakterystycznego dla demokracji, transferu władzy z rąk rządzących do opozycji. Wreszcie podzielane wspólnie rozumienie demokracji jako nie tyle proste rządy większości lecz rządy prawa, tyle, że tam dyktowane być może przez prawo *szariatu*. Czy to ostatnie brzmi złowieszczo? W Afryce Północnej – nie. Mieszkają tam bowiem sunnici, w części również o poglądach sekularystycznych, wśród których popularna jest najbardziej liberalna *hanaficka* szkoła koraniczna. *Idżtihad*, czyli modernizacyjna - jedynie gwarantująca dalszy społeczny rozwój - interpretacja *szariatu* zdaje się być, nawet w środowiskach wywodzących się z Braci Muzułmanów, uznaną koniecznością. Na tym zresztą oparł się swoisty islamski renesans zapoczątkowany już na przełomie obecnego wieku. Ma on przywracać islam sferze publicznej nawet w kompletnie laickich reżimach. Dodatkowo ważne jest także to, że islam, tak naprawdę, zakazuje kategorycznie tylko kilku rzeczy (w tym: picia alkoholu czy pozamałżeńskiego seksu) i nie ma pośród nich zakazu zbudowania państwa o odpowiedzialnej wobec obywateli władzy. Jeśli boimy się powtórki z irańskiej dyktatury imamów, to słusznie. Ale tylko w takim stopniu jak powinniśmy się bać tyranii w każdym regionie świata. Trzeba však pamiętać, że Ajatollah Chomeini dokonał ordynarnego zamachu na irańskie społeczeństwo, wpisując do konstytucji przekazanie przez lud suwerenności swojej osobie i następującym po nim najwyższym przywódcom. Zresztą, już coraz

mniej badaczy uważa tamtejszą dyktaturę za religijną, a po prostu, za czysto autorytarną. Wszystko to oznacza, że społeczeństwa arabskie, z których historią tak ściśle powiązany jest islam mogą bez większych problemów zbudować mechanizmy demokratycznego państwa. Wszelako z tą różnicą, względem naszej zachodniej kultury, że nie będzie tam publicznych debat o aborcji, a kobiety będą musiały stale walczyć o poszerzanie swoich praw. A czyż u nas tego nie czynią? Znamienne bowiem jest, że w ławach nowo wybranego parlamentu Egiptu zasiada tylko 2 proc. kobiet. Dlaczego tylko 2 procent? Bowiem w przeciwieństwie do Tunezji, gdzie obowiązywał wyborczy parytet „pół na pół”, na egipskich listach partii politycznych kobiety zajęły tylko 16 proc. miejsc, będąc dodatkowo skutecznie przez ich liderów spychane na dalsze „nie biorące” miejsca. Zatem i tu w kwestii „co nas łączy, a co dzieli” można zapytać się: a skąd my to znamy?

Bracia Muzułmanie, *Salafici* i plac Tahrir

Bojący się islamu zawsze wymieniali Braci Muzułmanów. To prawda, ich założyciel (1920) Al Bana był - z naszego punktu widzenia – fundamentalistą. Dzisiaj związane z nimi partie w Tunezji i Egipcie wygrały wybory i współrządzą swoimi krajami. Wszak otrzymały odpowiednio 42 i 47 proc. poselskich mandatów. Historia bywa jednak bardziej urozmaicona. Żyjący do dziś i bardzo wiekowy brat Al Bany wiódł zawsze skrajnie świeckie życie, a Bracia szybko zaczęli przewodzić strategii reform. W obu krajach to państwo niejako zawłaszczyło rewolucje. W styczniu 2012 roku odbyły się jednak pierwsze manifestacje na tunezyjskiej prowincji przeciw nowemu rządowi. W tym samym czasie w Egipcie, zaraz po pierwszej turze wyborów do drugiej izby parlamentu, Bracia zostali zmuszeni do jego obrony przed kilkudziesięciotysięcznym pochodem, który napłynął z osławionego placu Tahrir. Tłum żądający odejścia wojskowego rządu, oskarżył Braci o zaprzecanie rewolucji i uwikłanie się w polityczną grę. Ta „gra” jednak to wynik ich demokratycznego zwycięstwa. Bracia mają wciąż mało transparentną, i nacechowaną opozycyjną historią, wewnętrzną strukturę. Za to atakują ich młodzi działacze. Pamiętajmy tylko, że jak po Wielkim Wybuchu, wszystko tam jest wciąż w trakcie tworzenia. Zresztą zawsze obowiązująca Braci linia zależała od tego, która ze stron wewnętrznego sporu aktualnie nie przebywała w więzieniach. A odsiadywali długo i ciężko. Wiceszef tunezyjskiej Al Nahdy nawet 18 lat. Dziś, to jednak fundamentalistyczni *salafici* stanowią polityczną niespodziankę. W Tunezji tworzą zaledwie skrzydło zwycięskiej partii. Ale za to w Egipcie ich partia Al Nur samodzielnie zdobyła aż 24 proc. mandatów w niższej izbie parlamentu. A to oznacza, że islamiści (łącznie z Braćmi) mają ich razem 72 proc. Zupełnie jednak nie zanoszą się, przynajmniej jak na razie, na wspólną koalicję. W zbliżających się szybkimi krokami wyborach prezydenckich reprezentować ich będą dwaj różni kandydaci. *Salafici* głoszą ideę państwa opartego na *szariacie*. Gdy jedna z *salafitek* weszła przypadkowo w kadr aparatu fotograficznego, pod lokalem wyborczym, jej mąż interweniował, mimo, że nie było jej widać nawet oczu z powodu *czadoru* i noszonych okularów. Bracia dobrze wiedzą jak udział Al Nur we władzy mógłby wpłynąć chociażby na turystykę, a zatem i budżet państwa. W 2011 roku, do Egiptu przybyło aż o 5 mln

turystów mniej, niż w latach poprzednich. Co według danych ministerstwa turystyki oznacza ponad 50 proc. spadek. Najwyraźniej kierownictwo Braci i ich parlamentarnej reprezentacji poczuło odpowiedzialność za państwo, czemu dają wyraz w licznych prasowych wywiadach. Czy jednak ta gwałtowna reakcja na fotografowanie może być zapowiedzią szariatu znanego choćby z Iranu czy Arabii Saudyjskiej? Rozmowa z ważnym działaczem salafickim na to jednak nie wskazywała.

Parlament kontra wojsko?

Wojsko, które sprawuje dalej władzę w Egipcie, od początku wiedziało, że uruchomiony cykl wyborczy musi tej władzy je pozbawić. Ale co z dotychczasowymi materialnymi profitami. Za Mubaraka mieli ministerstwo przemysłu wojskowego i roczną dotację z Waszyngtonu w wysokości 1 mld 300 mln USD. To, dlatego tajemnicą poliszynela były próby układania się z Braćmi w obliczu ich spodziewanego zwycięstwa wyborczego. Bracia jednak dostali się pod presję placu Tahrir. Tymczasem pod koniec stycznia ruszyła delegacja wojskowa do USA, aby utrzymać amerykańską dotację. A tam usłyszeli warunek, że musi być plan powrotu do koszar.

Znacząca, społeczna czy polityczna pozycja wojska w krajach muzułmańskich to spadek po osmańskiej tradycji. Dobrze z literatury czy filmów pamiętamy pozycję elitarnych janczarów. Dzisiaj z tym bywa różnie w poszczególnych krajach. Tam, gdzie wojsko skutecznie rywalizowało o pozycję w państwie ze służbą bezpieczeństwa, jak w Bahrajnie czy Syrii, skierowało swoją broń przeciw rewolucjom. W Libii i Jemenie, odsunięte i klanowo podzielone, stanęło po obu stronach barykad. W Tunezji, odsunięte przez lata na drugi plan, zdecydowanie bardziej niż Egipcie, poparło zmiany. Tunezyjscy oficerowie przechodzili amerykańskie szkoły, gdzie wpajano im rolę w demokratycznym państwie. Dlatego nigdy nawet nie usiłowali przeprowadzić jakiegokolwiek puczu. Tymczasem w Egipcie, szef Najwyższej Wojskowej Rady Mohamed Tantawi był za dyktatury ministrem wojskowego przemysłu rywalizującego z biznesami syna Mubaraka – Gamala. I stąd wojsko w Egipcie pozostało w grze, ale głównie o swoje interesy. Ale ta gra może napisać niebezpieczny scenariusz. Oskarżeni już przez Tahrir o zdradę rewolucji i kurczowe trzymanie się u władzy, wojskowi zaczęli się zderzać także z legitymowanym w wyborach, parlamentem i zwycięskimi Braćmi. Tak więc historia rosyjskiej czy peruwiańskiej, odpowiednio: za Jelcyna i Fudzimoriego (lata 90.), wojny władzy wykonawczej z parlamentem może się powtórzyć. Tzw. „autopucz”, czyli zamach jednej władzy na drugą, to wcale nie takie rzadkie przypadki w ostatnim 40- leciu demokratycznych transformacji w świecie. Na razie wojsko zapowiada swoje odejście po ostatnim akcie wyborczym, jakim będą powszechne wybory prezydenckie. A więc już wkrótce.

Kto zbuduje lepszą demokrację?

Zarówno w Tunezji, jak i Egipcie nikt raczej nie myśli o ustrojach prezydenckich dla swoich krajów. Za bardzo sparzono się na superprezydencjalizmach Ben Alego i Mubaraka. To dobrze. Z powodów, które trudno w małym artykule wyłuszczyć, budowanie takiego ustroju demokracji udało się tylko w Stanach Zjednoczonych, a nie udało w krajach Ameryki Łacińskiej, Europy Wschodniej czy Środkowej Azji. Z racji podobnych doświadczeń w Tunezji oraz Egipcie wiedzą, że władza musi być dobrze zrównoważona, czyli system *checks and balances* powinien być rozwinięty. A to bardzo dobrze. Wiodąca w Tunezji postislamska Al Nahda oficjalnie optuje za systemem parlamentarnym czy wręcz kanclerskim. Trwa tam, na szczęście, dialog uzmysławiający, że jednak systemy te mogą nadmiernie koncentrować władzę w egzekutywach. I tak jak Brytyjczycy czy Niemcy trzeba mieć za sobą lata doświadczeń, silny demokratycznie samorząd terytorialny czy – jak w Niemczech – prezydenta arbitra, a także silnego oponenta w postaci wyższej izby parlamentu. W Egipcie natomiast wydają się być bliżej rozwiązań semiprezydenckich z głową państwa wyłanianą w powszechnych wyborach.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że Tunezyjczykom będzie łatwiej przyjąć konstytucję dobrze zbalansowanej i wystarczająco decyzyjnej demokracji. W parlamencie jednoizbowym, który otrzymał rok czasu na przyjęcie ustawy zasadniczej, jest ośrodek wiodący (Al Nahda wraz koalicjantem), który dodatkowo wie czego chce. Tymczasem w Egipcie panuje dezorientacja. Bracia mówią coś o systemie parlamentarnym ale Najwyższa Rada Wojskowa przeprowadza wybory do organów (parlament, prezydent), których kompetencje nie zostały skorygowane demokratycznie lecz pochodzą ze starych czasów. Nawet nie Mubaraka, jak w przypadku izby wyższej parlamentu, lecz prezydenta Anwara Sadata.

W tym egipskim niedookreśleniu może być jednak metoda. Konkretnie – metoda transakcyjna. Otóż obsadzone już w wyborach instytucje: izby niższej, wyższej czy prezydenta zaczną, na forum piszącej konstytucję konstytuandy, ścierać się ze sobą walcząc o swoje kompetencje. Zjawisko autonomizacji instytucji da więc o sobie dobrze znać. Mniej więcej tak, jak miało to miejsce w Polsce w okresie przed uchwaleniem, w 1992 roku, tzw. małej konstytucji. Każdy będzie wykorzystywał swoją pozycję transakcyjną w walce o przyszłe prerogatywy, tym samym, dojdzie do zaprojektowania nieźle zrównoważonej – w wersji semiprezydenckiej - demokratycznej konstytucji. Gdzie - mówiąc językiem Monteskiusza z „O duchu praw” – władza będzie powściągała władzę. Tymczasem brak takiego transakcyjnego, zmuszającego strony do negocjacji, scenariusza może właśnie w przypadku Tunezji skutkować demokracją słabiej równoważącą władzę, a zatem gorszej jakości. Demokracją parlamentarną chroniącą dominację postislamskiej partii, w muzułmańskim przecież społeczeństwie. A dodatkowo, demokracją wyposażoną w instytucje, nie tyle wynegocjowane z innymi słabszymi opcjami, ile przeforsowane metodą prostej większości. Na koniec, ewentualne referendum taką właśnie demokrację tylko oczywiście utrwali.